

PODRÓŻ RÓŻOWYCH DELFINÓW

Wyprawa do Amazonii

SY MONTGOMERY



Spotkanie Wód

Już tylko jedna sprawa dzieliła nas od Spotkania Wód i delfinów: musiałyśmy kupić mrożonego kurczaka.

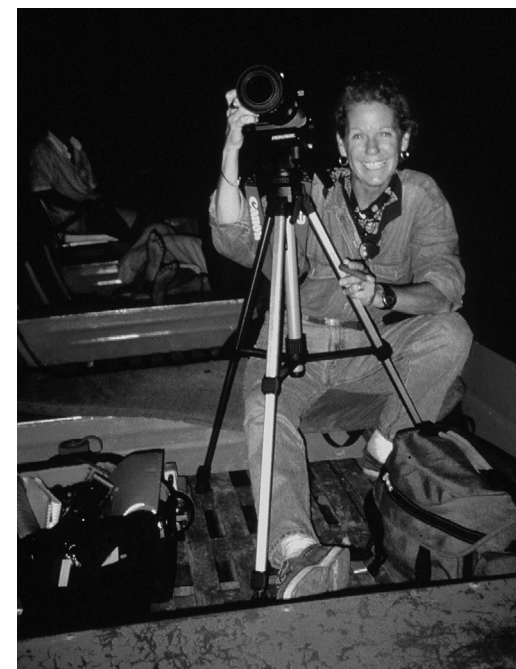
Niestety, na moich kasetach do nauki języka nie było zdania „Poproszę mrożonego kurczaka”, więc kiedy znalazłam się rano przy ladzie w *supermercado*, musiałam improwizować.

– *Queria um frango gelado, por favor.*

Źle użyłam kluczowego słowa: *gelado*. Podczas gdy Dianne i nasz przewodnik spływali potem w furgonetce, ja próbowałam kupić lody kurczakowe. Sprzedawczyni wydawała się nieco zmieszana, a ja coraz bardziej się denerwowałam.

Bez mrożonego kurczaka wyprawa jest nie do pomyslenia. Była to ostatnia rzecz, jaką usłyszałam poprzedniego wieczoru od Very da Silva podczas rozmowy, która pozostawiła mnie z uczuciem, że całe przedsięwzięcie legło w gruzach, zanim się w ogóle zaczęło.

Vera, dyrektorka laboratorium ssaków wodnych w amazońskim Instituto Nacional de Pesquisas da Amazônia (INPA), miała nam towarzyszyć. Zajmowała się iniami dłużej niż ktokolwiek inny i jako jedyna na świecie śledziła je



Dianne Taylor-Snow
z aparatem i cygarem

za pomocą radiotelemetrii. Poznałyśmy się w Stanach na konferencji o ssakach morskich. Obiecała wtedy wielkodusznie, że zabierze nas w miejsce, gdzie jedenaście lat wcześniej zaczęła obserwować zachowania różowych delfinów – nad powstające w czasie pory deszczowej jezioro Marchantaria nieopodal Rio Solimões, tuż za Spotkaniem Wód.

Czytałam prace Very i od dawna je podziwiałam. Na to, że mogłabym dowiedzieć się o różowych delfinach czegoś nowego, wpadłam dzięki tekstowi, który napisała ze swoim nieżyjącym już mężem Robinem Bestem, pracownikiem naukowym Vancouver Aquarium. „*Inia* spełnia wszystkie warunki wymienione w konwencji O ochronie wędrownych gatunków dzikich zwierząt”, pisali Vera i jej mąż w 1986

roku. „Jest niemal pewne, że inie odbywają cykliczne sezonowe migracje, ponieważ rzeka co roku występuje z brzegów...”. W dalszej części pracy wymieniono miejsca, w których delfiny muszą przekraczać granice Brazylii. Postanowiłam, że spróbuję podążać za nimi podczas tej wędrówki, żeby zobaczyć, dokąd zmierzają, i odłożyłam pieniądze na podróż.

Dlatego kiedy po przyjeździe do Manaus odwiedziłam Verę w INPA, nie mogłam się doczekać, żeby poprosić ją o rady w sprawie śledzenia delfinów.

– Ale inie nie migrują – powiedziała.

– Wydaje mi się, że czytałam o tym w twojej pracy.

– No tak – przyznała. – Kiedyś tak myśleliśmy, ale to było przed telemetrią. Teraz wiemy, że nie migrują.

Och.

Mimo to Vera bezsprzecznie była kopalnią wiedzy o delfinach. A poza tym lubiłyśmy ją. W jej niewielkim biurze, z wiszącymi na ścianach i metalowych szafkach plakatami i pocztówkami przedstawiającymi delfiny, foki i ptaki, od razu poczułyśmy się jak w domu. Jedną z szuflad Vera ozdobiła cytatem z Rebeki West z 1913 roku. Musiał się jej wydawać niezwykle aktualny, w końcu pracowała w maczystowskiej Brazylii w zdominowanej przez mężczyzn dziedzinie. „Sama nigdy nie byłam w stanie określić, czym jest feminizm. Wiem tylko, że ludzie nazywają mnie feministką, kiedy wyrażam uczucia, które odróżniają mnie od wycieraczki”.

Uroczą, znającą się na rzeczy i zwinna jak morskie stworzenie po ponad dwudziestu latach badania inii Vera stała się do nich w pewien sposób podobna: jest coś delfiniego w kształcie jej ust, gdy się uśmiecha, i w jej iskrzących się

humorem ciemnych oczach. Śmiech Very skojarzył mi się z bąbelkami, które – jak mówiła – boto wypuszczają, przepływając pod kanu.

– Jeśli zatrzymasz łódź na kilka godzin, przyplływają, muskają ją i wypuszczają bańki, które uderzają od spodu w jej dno – powiedziała marzycielsko. – Zauważysz, że nadpływają, bo wypuszczają te bąbelki także wtedy, gdy płyną. Coś pięknego. Piękny dźwięk. Czasem wynurzają się tuż przy łodzi i patrzą na ciebie! To niesamowite. Zobaczysz.

Zapytałam o jej metody badawcze. Które pory dnia są najlepsze, żeby zobaczyć inie w Marchantarii? Jak odróżnia poszczególne osobniki? Jak je śledzi?

– Na Marchantarię – odpowiedziała Vera – wypływałam codziennie o szóstej rano i wracałam o szóstej wieczór. Starałam się zidentyfikować poszczególne osobniki. To ważne, żeby je rozpoznawać, bardzo ważne. Bez tego nie da się badać delfinów.

Jak zatem to zrobiła, zapytałam.

– Długo próbowałam, ale nic z tego nie wyszło. To zbyt trudne. Nie da się.

Och.

Wcześniejsze prace Very dotyczyły głównie liczebności populacji. Większość jej badań behawioralnych nie została jeszcze opublikowana. Dane, wyjaśniła melodyjnym angielskim z brazylijsko-portugalskim zaśpiewem, zebrała w innym miejscu, w zalanym wodą leśnym rezerwacie Mamirauá, półtora tysiąca kilometrów stąd. Oznaczyła ciekłym azotem pięćdziesiąt sześć tamtejszych delfinów, a kilkanaście innych wyposażała w nadajniki radiowe, dzięki którym mogła je śledzić. W Marchantarii nie udało się jej rozpoznać żadnego osobnika.

Ale mogła nam powiedzieć, co jej nie wyszło i dlaczego. Mogła obserwować z nami delfiny i wyjaśnić nam, co robią i co właściwie widzimy. Mogła nam pokazać techniki, które nie zadziałały w Marchantarii, ale może przydałyby się nam gdzieś indziej. Na to w każdym razie liczyłam, dopóki nie zadzwoniła do hotelu, gdy Dianne i ja ubierałyśmy się do opery, żeby oznajmić, że złapała wirusowe zapalenie spojówek i nie może jechać.

W INPA szaleje epidemia, powiedziała. Fakt, kiedy poprzedniego dnia odwiedziłyśmy Verę w pracy, kilka osób było na zwolnieniu. Ponieważ ledwie widzieli, nie mogli dojechać do biura, a gdyby nawet im się udało, i tak nie byłiby w stanie pracować, bo przy zapaleniu spojówek nieustannie trze się oczy.

Mnie też zaczęły piec.

Vera obiecała, że przyśle nam swojego asystenta Nildona Athaide'a.

– On wszystko wie – zapewniła przez telefon.

Ale niestety nie mówi po angielsku, powiedziałam z przerażeniem, a jest już za późno na szukanie tłumacza.

– Poradzicie sobie bez problemu – uspokoiła mnie Vera.

– Ale musisz koniecznie kupić mrożonego kurczaka. Nildon bardzo lubi kurczaki. Pamiętaj o mrożonym kurczaku!

Dlatego stałam tamtego ranka w sklepie i prosiłam skołowaną sprzedawczynię o lody kurczakowe, rozpaczliwie próbując kupić mięso, którego jako wegetarianka nie zamierzałam jeść i bez którego Dianne, która je wszystko, bez żalu by się obeszała. Według mnie zabieranie kurczaka na wyprawę w miejsce pełne jadalnych ryb było zupełnie bez sensu. Domyślałam się jednak, że Nildon chciał go dostać właśnie dlatego, że przez cały czas jadł ryby.

Tak bardzo mu się do niego spieszyło, że przyszedł do *supermercado*, żeby zobaczyć, co mnie zatrzymuje. *Sua frango!* (Twój kurczak!), krzyknęłam zdenerwowana. Nildon podszedł do zamrażarki i dokładnie obejrzał wszystkie kurczaki, a potem dokonał wyboru. Teraz ptaka trzeba było zważyć, ale w sklepie znajdowała się tylko jedna waga – elektroniczna, a akurat wyłączyli prąd. Błagaliśmy sprzedawczynię, żeby wyceniła mrożonkę na oko, ale była nieprzejednana: jeśli nie da się zważyć, nie można wycenić. A jeśli nie można wycenić, to nie można sprzedać. Poza tym kasa też jest na prąd.

Zostawiliśmy więc bezcennego kurczaka i ruszyliśmy furgonetką INPA w poszukiwaniu *supermercado*, w którym byłby prąd. W końcu znaleźliśmy, zaopatrzyliśmy się w mrożonego ptaka i po pięciu minutach dotarliśmy do Porto da Ceasa, gdzie czekała na nas otwarta pięciometrowa aluminiowa łódka z silnikiem, którą mieliśmy dopłynąć do Spotkania Wód.

Amazonka była pełna śmieci. Odbijaliśmy od pomostu, patrząc na muliste wody z narastającą rozpaczą. Co kilkadziesiąt metrów trafialiśmy na pojemniki po aerozalach, butelki po coli, puszki po farbie. Unoszące się na powierzchni rzeki reklamówki przypominały meduzy, zbłąkane beczki podskakiwały na falach jak napuchnięte zwłoki. Spojrzeliśmy w kierunku Manaus; na strzelistych budynkach dzielnicy przemysłowej połyskiwały napisy – Samsung, Sony, Honda, Shell. Huta żelaza jednym kominem wypuszczała czarny dym, drugim – pomarańczowy. Motorówki przemysłały obok nas przechylone do tyłu niczym spłoszone konie, musieliśmy przeczekiwać fale.

Po pięciu minutach dotarliśmy do Spotkania Wód. Turyci spoglądali z wielkiego statku wycieczkowego na szero-

kie smugi kawy i śmietanki. Z górnego pokładu, z dala od śmieci, mieli oszałamiający widok. Rzeki wyglądały jak żywe stworzenia, dwie monstrualne stręty albo dwa płynące bok w bok węże wodne. W atawistycznym odruchu wyciągnęłam rękę w stronę wody, zupełnie jak dziecko, które chce dotknąć zwierzęcia, ale cofnęłam ją na widok śmieci. To chyba niemożliwe, żeby mieszkały tu delfiny.

I właśnie wtedy dwie trójkątne płetwy przecięły powierzchnię rzeki. Dokładnie pośrodku, na styku kolorów, jakby się z niego zrodziły.

– *Tucuxi* – oznajmił Nildon, przekrzykując wycie piętnastokonnego silnika.

To słowo z języka tupi; w Brazylii na te małe szare delfiny wciąż mówi się tak, jak nazwali je miejscowi Indianie. Naukowcy nazywają je *Sotalia fluviatilis*. To drugi obok boto delfin amazoński. W odróżnieniu od inii tucuxi wygląda-

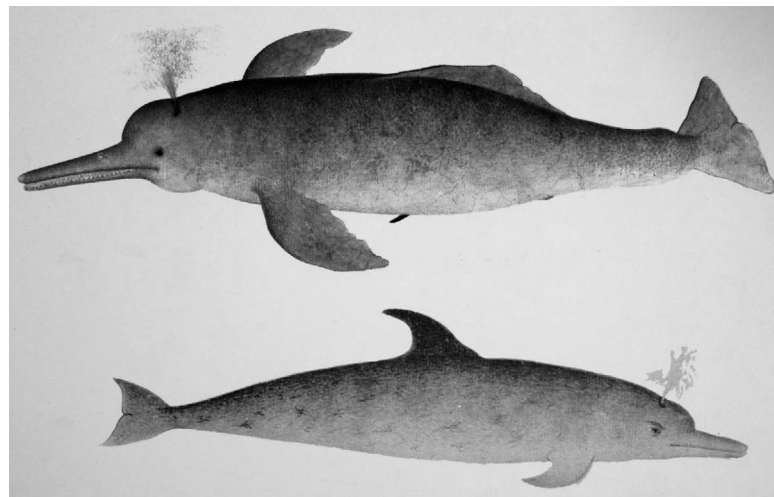


Tucuxi

ją i zachowują się tak, jak spodziewamy się po delfinach. Są smukłe i zwarte, mają krótkie pyski o znajomym kształcie i trójkątne płetwy grzbietowe. Wyskakują z wody, obracając się i chlapiąc, i prują jej powierzchnię, zostawiając za sobą pióropusze mgiełki. Niecałe pięćdziesiąt metrów od naszej łodzi pokazał się pierwszy, a po chwili drugi, mignęły nam ich miękkie różowawe brzuszki; potem wyskoczyły oba, prawie się dotykając. Złapałyśmy się za ręce.

– Najpierw symfonia – krzyknęła Dianne, próbując przekrzyknąć warkot silnika – potem opera, a teraz balet!

Vera mówiła nam niedawno w INPA, że wszyscy lubią sotalie. Boto są duże, podpływają do łodzi blisko i niespodziewanie, więc ludzie znad rzeki odnoszą się do nich podejrzliwie. Tucuxi nie są takie śmiałe, wyskakują z wody w oddali. A poza tym są małe i śliczne. Mają metr, może półtora metra długości i wyglądają jak miniaturki delfinów morskich. Są



Inia (boto) i tucuxi (sotalia amazońska)

eleganckie i opływowe, a ich butelkowate pyski zawsze zdobi radosny uśmiech.

Sotalia to waleń z rodziny delfinowatych, tej samej, do której należą delfiny żyjące w morzu i występujące w oceanariach. Jeszcze stosunkowo niedawno tucuxi niemal na pewno były zwierzętami wyłącznie morskimi, ponieważ do dziś można się na nie natknąć zarówno w słodkich, jak i w słonych wodach – od południowych krańców Brazylii aż po Honduras. Mimo że dzielą Amazonkę z boto, podobnie jak czarna Rio Negro i biała Rio Solimões różowe inie i szare sotalie mają różne korzenie.

Rodzina delfinowatych, najbardziej różnorodna i liczna wśród waleni (należy do niej jakieś dwadzieścia sześć gatunków), jest dość młoda. Delfinowate mają zwarte i atletyczne ciała, jakby zaprojektowane do szybkiego pływania w otwartych wodach. Mimo że naukowcy nie dysponują skamielinami sotalii, większość z nich zgadza się, że delfiny te przypłynęły do Amazonki z Atlantyku, prawdopodobnie najwcześniej pięć milionów lat temu.

Rodowód inii jest zupełnie inny. Do niedawna zaliczano je do rodziny suzowatych (*Platanistidae*), wraz z pięcioma pozostałymi gatunkami delfinów rzecznych, między innymi z tym, którego przedstawiciele spotykałam w Indiach i Bangladeszu. Teraz jednak wielu naukowców uważa, że boto i występujący w Ameryce Południowej spokrewniony z nim delfin mały, zwany delfinem La Platy, powinny tworzyć osobną rodzinę *Iniidae*. Dianne i ja znałyśmy inie tylko ze zdjęć i z telewizji, ale nawet w tych obrazach widać było coś tajemniczego i starożytnego, czego nie mają w sobie morskie delfiny.

Inie są duże, osiągają niekiedy ponad dwa metry długości i mogą ważyć nawet dwieście kilogramów. Ich ciała różnią

się nieco od ciał większości delfinów. Płetwa grzbietowa jest słabo zaznaczona, wzdłuż grzbietu przebiega niewielka wypukłość. Płetwy piersiowe są spore, wyglądają niemal jak skrzydła. Ale to twarz najbardziej zwraca uwagę. W porównaniu z wąską i gładką głową tucuxi bulwiaste czoło inii wygląda na zniekształcone jak u trolla albo karła, oczy są maleńkie, pysk kończy się wąskim dziobem, nierzadko wykrzywionym w jedną stronę, jakby go wygięto. David i Melba Caldwellowie, amerykańscy naukowcy, którzy przez wiele lat badali boto żyjące w niewoli na Florydzie, opisują je jako „relikty przeszłości, garbate, długodziobe, o paciorkowatych oczach i luźnej skórze”. Ale inie mają w sobie przedziwne piękno, tyle że trzeba czasu, by je dostrzec. To piękno starości i życia płodowego. Piękno kogoś, kto dopiero się staje, kogoś, kto stoi na progu przemiany.

Inie pochodzą najprawdopodobniej z mórz zachodnich. Niektórzy naukowcy uważają, że ich przodkowie wpłynęli z oceanu do Amazonki nawet piętnaście milionów lat temu, zanim wypiętrzyły się Andy, w czasach gdy rzeka spływała na zachód, do Pacyfiku, i dorastali wraz z nią od samego początku. Płyta południowoamerykańska dryfowała wówczas na zachód po płaszczu Ziemi, aż zderzyła się z płytą Nazca (która obecnie znajduje się pod wschodnią częścią Oceanu Spokojnego), wskutek czego powstały Andy. Góry odcięły rzekę od oceanu i stworzyły wspaniałe odosobnienie, któremu Amazonia zawdzięcza swoją zdumiewającą różnorodność. Podczas gdy w Missisipi żyje zaledwie dwieście pięćdziesiąt gatunków ryb, a w rzece Kongo mniej niż tysiąc, w Amazonce jest ich ponad dwa i pół tysiąca – więcej niż w jakiegokolwiek innej rzece na świecie – i większość z nich można znaleźć tylko tutaj. To miejsce jedyne w swoim



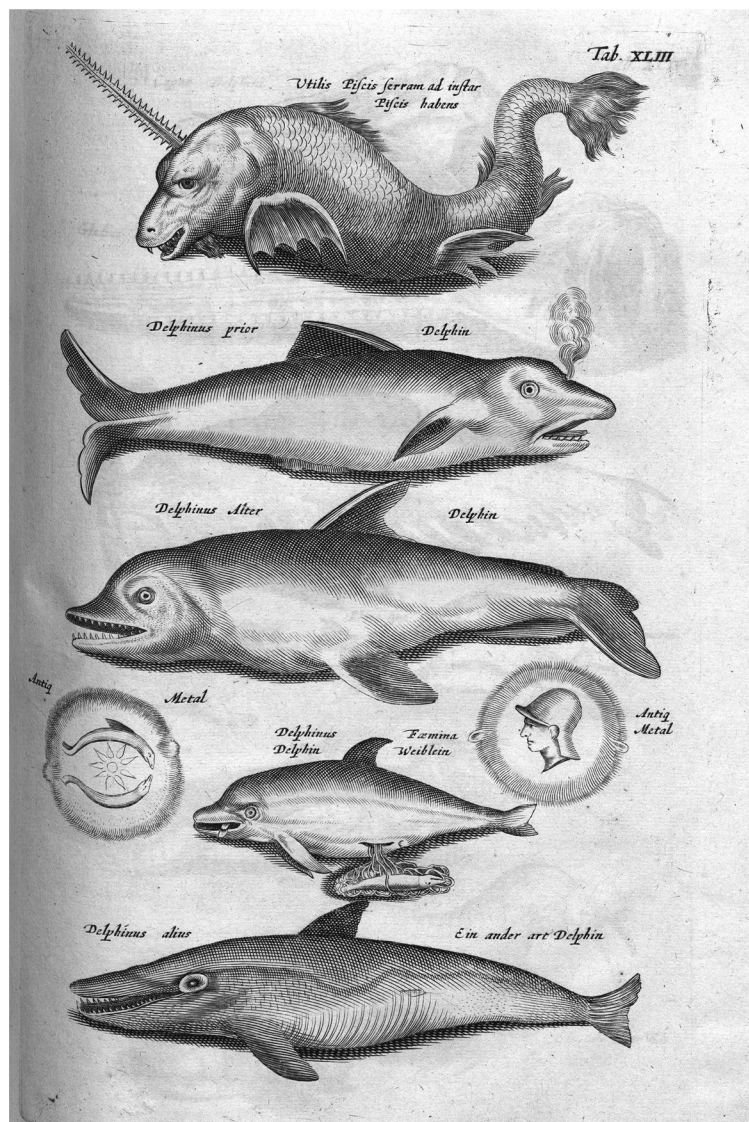
rodzaju. Przez pięć milionów lat, zanim jej wody wyżłobiły znane nam dzisiaj koryta wodące na wschód do Atlantyku, Amazonka nie była rzeką, tylko gigantycznym zatopionym lasem, największym jeziorem, jakie kiedykolwiek istniało na powierzchni ziemi. Jeziorem, które co roku z nadejściem pory deszczowej stwarzało się na nowo. Teraz, tuż za Spotkaniem Wód, zobaczymy ten nowy świat.

Nie minęło nawet pół godziny, a zostawiliśmy za sobą Manaus i wszystkie jego śmieci. Gdy skręciliśmy z głównego koryta w stronę Catalão, gdzie mieliśmy spędzić kilka nocy, opuściło nas nawet uczucie, że płyniemy, zniknęła atmosfera przejażdżki po rzece. Catalão nie było miastem, nie wyglądało nawet na wioskę; sprawiało raczej wrażenie jeziora, z którego gdzieniegdzie wyrastały uginające się od owoców drzewa do połowy zanurzone w czerwonej wodzie.

Od grudnia do maja w Amazonii nieprzerwanie pada deszcz. Poziom rzek podnosi się w tym czasie o dwa do trzech metrów miesięcznie. Teraz, w kwietniu, w niektórych miejscach woda wdiera się na pięćdziesiąt kilometrów w głąb lądu, zalewa wioski i tysiące kilometrów lasu. Wiemy, że pod naszą łodzią młode drzewka wciąż wypuszczają liście. W nocy, gdy będziemy spali, pod podłogą naszego domu na wodzie być może przepłyną delfiny.

Poza naszym pomalowanym beztrzesko na czerwono i zielono trzypokojowym domkiem i należącą do INPA „Harold Sioli”, opuszczoną dwupoziomową łodzią-laboratorium, widzieliśmy w okolicy tylko jeden pływający dom,

Dzięki swoim podobnym do skrzydeł płetwom i niezwyklej gibkości różowe delfiny latają pomiędzy zatopionymi gałęziami drzew jak ptaki



Siedemnastowieczne wyobrażenie ryby piły i delfinów

kilkaset metrów w górę rzeki, z anteną telewizyjną sterzącą z aluminiowego dachu. Telewizor musiał być podłączony do generatora, bo nie zauważyliśmy żadnej linii energetycznej. Dom, podobnie jak nasz, unosił się na kłodach i był przycumowany łańcuchem do drzewa. Nildon powiedział, że mieszka tam rodzina drwali. Na ganku zauważyliśmy niewielki ogródek w doniczkach, wśród których w poszukiwaniu robaków kręciły się kury.

Ledwie Nildon wyłączył silnik, dopadły nas cisza i obezwładniający południowy upał. W kuchni czterocentymetrowe osy budowały cylindryczne gniazdo pod sufitem, a po stole przelewały się małe mróweczki, zupełnie niezrażone tym, że nogi mebla zanurzono w wypełnionych wodą obciążonych butelkach po pepsi. Na zewnątrz ogromne zielone wązki przysiadły na fioletowych kwiatkach wodnych hiacyntów nieopodal zwłok półmetrowego kajmanki. Poza tym prawie nic się nie poruszało. Trzy psy i cztery szczeniaki, które wyszły nam na powitanie, leżały na podłodze, jakby pomdlały. Nawet czas ledwo płynął. Gdy tylko Nildon wrzucił swojego drogiego kurczaka do lodówki na gaz, rozwiesiliśmy hamaki, żeby przeczekać upał. Woda wydawała się nieruchoma. Rozciągała się wokół nas nieskończona, ciemna, lśniąca i ciepła, tajemnicza i pełna obietnic.

Choć spieszyło się nam do delfinów, uznaliśmy, że rozsądniej będzie odczekać. Vera odkryła, że inie, podobnie jak większość zwierząt, są najbardziej aktywne o zmierzchu i o świcie. Podpiekanie się w środku dnia w otwartej aluminiowej łodzi miałyby się z celem. Stwierdziliśmy, że lepiej zachować nasze ograniczone zapasy paliwa na późne popołudnie.

Wyłynęliśmy o 14.45. Upał nieco zelżał; nie zrobiło się chłodniej, ale za to było bardziej wilgotno. Tłuste białe chmury spiętrzyły się na niebie tak wysoko, że te na dole wyglądały, jakby zaraz miały zostać zmiażdżone. Zastanawialiśmy się, kiedy zaczną się łąć.

Kilka minut po trzeciej z wody wyskoczyły pierwsze tucuxi. Najpierw jeden, potem drugi, później dwa naraz, jakies sześćdziesiąt metrów od naszej łódki. Czytałam, że lubią pływać parami lub w większych stadach; różowe delfiny z kolei podobno częściej widuje się pojedynczo. Nildon wyłączył silnik. Obserwowaliśmy balet sotalii. Ich sierpowate płetwy raz za razem cięły powierzchnię wody, jedna przy drugiej. Potem do pierwszej dwójki podpłynęła kolejna para. Być może wspólnie łowiły ryby i naganiały je sobie nawzajem. A może po prostu cieszył je ruch wody na skórze. Jeden z tucuxi wyskoczył w powietrze, obrócił się i spadł z pluskiem do wody. Czytałam, że duże wieloryby pozbywają się w ten sposób pasożytów, ale te delfiny robiły to chyba dla czystej przyjemności.

Tylko gdzie się podziały inie?

– *Inia gosta lago* – powiedział Nildon. Inie lubią jeziora.

To z tego powodu Vera, która początkowo liczyła je przy Spotkaniu Wód, przeniosła się z badaniami na jezioro Marchantaria, które mieliśmy odwiedzić następnego dnia. Choć inie i sotalie często występują razem, te drugie preferują wody głębokie, wyjaśniała Vera, podczas gdy te pierwsze wolą płytsze jeziora i zalane lasy. Właśnie dlatego różowe delfiny mają na grzbiecie tylko niewielką, delikatną wypukłość.

– Gdyby miały dużą płetwę grzbietową – wyjaśniła – ciągle uderzałyby nią o zanurzone w wodzie gałęzie.

Niewielkie rozmiary płetwy grzbietowej sprawiają jednak, że boto trudno wypatrzeć. Rzadko też wyskakują z wody

jak tucuxi. Jeśli są takie jak te delfiny, które widziałam w Sundarbanach, najpierw zobaczymy ruch – daleki, subtelny, niespodziewany. Patrzyliśmy więc szeroko, jakbyśmy zarzucali sieć, i mieliśmy nadzieję, że uda nam się w nią coś złapać.

O 15.15 zobaczyłam. Mała płetwa grzbietowa, grzbiet jasnoróżowy jak zachód słońca na tle burzowych chmur. Należał do nieba, ale znajdował się w wodzie. Mój mózg uznał, że ta różowa istota wyłaniająca się z rzeki nie może istnieć, i choć patrzyłam na nią ponad sekundę, musiało minąć kilka kolejnych, zanim dotarło do mnie, co zobaczyłam. Wtedy jednak boto był już daleko. Nie zdążyłam nawet zawołać: „Patrziel!”.

Ale Dianne też go dostrzegła, tak samo jak Nildon, który siedział przy wyłączonym silniku na rufie i uśmiechał się od ucha do ucha.

Wciąż patrzyliśmy w miejsce, gdzie pojawił się delfin, jak gdyby to ono go zrodziło i mogło nam dać kolejnego. I faktycznie, kilka minut później wyłoniły się stamtąd dwa tucuxi; kręciły się w wodzie i co chwila wyskakiwały. Pomyślałam, że może jest tam jakiś prąd, który przywabia ryby. Być może sotalie obserwowały inię i dzięki temu zorientowały się, gdzie można znaleźć pożywienie. Może ją przegoniły. Chciałabym móc zapytać o to Nildona, ale nie poradziłabym sobie z językiem, chciałabym móc zapytać o to Verę, ale najbardziej chciałam znów zobaczyć boto – jego ogon i płetwy, jego twarz.

Liczyliśmy wszystko, co zobaczyliśmy: tamtego popołudnia pięćdziesiąt cztery razy widzieliśmy tucuxi. Według Nildona było ich tam najprawdopodobniej dziesięć.

– *Onde fica boto?* – spytałam płaczliwie. Gdzie jest boto?

– *Nada* – odparł.

O 16.25 dobiegł nas daleki pomruk grzmotu. Zapomnieliśmy obserwować niebo. Spojrzeliśmy w górę i zobaczyliśmy obramowane białym światłem czarne chmury w błękitnym powietrzu. Czarno-białe jaskółki wirowały jak na lekkim wietrze, inne ptaki zaczynały śpiewać swoje wieczorne pieśni. Ale samo niebo było nieruchome i ciche, jakby na coś czekało.

Patrzyliśmy na jego odbicie w wodzie. Słońce szeroko rozlewało się po rzece. Wyłoniły się z niego trzy tucuxi. A później jeszcze coś, coś małego i różowego, zmarszczka na wodzie jakieś sto metrów od dzioba naszej łódki. Przez chwilę wydawało nam się, że widzimy garb czoła. Zanim zniknął, usłyszeliśmy oddech. Potem delfin znowu się pojawił, kawałek dalej – może ten sam, może jego towarzysz. A za nami rozległo się kolejne westchnienie, długie i powolne. Odwróciliśmy się i zobaczyliśmy zmarszczoną taflę wody. I mgiełkę, chwilę później przy prawej burcie, bardzo blisko. „Czasami widzisz oddech, ale nie boto”, powiedziała nam Vera. Brzmiało to niewiarygodnie, ale teraz przekonałam się, że to prawda. Nieco dalej rozległo się następne sapnięcie. Były co najmniej dwa. Przyplłynęły do nas.

Zbliżyła się także burza. Na zachodzie niebo przecięła błyskawica, łącząc wodę i powietrze drabiną energii i odbijając zachodzące słońce. Nigdy czegoś takiego nie widzieliśmy: była oślepiająco, niewyobrażalnie różowa.

Około osiemnastej woda zmieniła się w płynne srebro. Świat wyglądał jak w negatywie. Różowe błyskawice uderzały ze wszystkich stron. Później ze zdumieniem uświadomiłam sobie, że choć siedzieliśmy w otwartej aluminiowej łódce, zupełnie się nie baliśmy. Nie umielibyśmy sobie wyobrazić znaku bardziej oczywistego, bardziej cudownego

niż ten. Różowe błyski przeszywające niebo z prawa i z lewa i pełne obietnic wilgotne oddechy różowych delfinów były jak wiadomość, jak wezwanie i porozumienie.



Dla mieszkańców Amazonii różowe delfiny to „boto”, zmiennokształtni, którzy pod ludzką postacią wychodzą z wody, aby uwieść człowieka i zaprowadzić go do Encante, podwodnego świata cudów. Naukowcy nazywają je *Inia geoffrensis* i wywodzą ich początki z pradawnego gatunku uzębionych waleń, którego korzenie sięgają około piętnastu milionów lat wstecz. Jedno wiadomo na pewno: to najmniej zbadany gatunek delfina na świecie.

W *Podróży różowych delfinów* przeplatają się ze sobą starożytne mity i współczesna nauka. Sy Montgomery – poetka, przyrodniczka i Indiana Jones w jednej osobie – śledzi historyczną i naturalną przeszłość delfinów, bada ich obecne środowisko i zastanawia się, jaki los czeka te niezwykle ssaki, jeśli człowiek nie przestanie na masową skalę wycinać lasów deszczowych. Nie waha się przy tym wspinać na trzydziestometrowe drzewa, kąpać w wodzie, w której roi się od piranii, zażyć ayahuaski, bardzo silnego halucynogenu, dzięki któremu szamani porozumiewają się z delfinami, ani sterczeć na słońcu kilkanaście godzin tylko po to, żeby zobaczyć skrawek płetwy grzbietowej.

Sy Montgomery pisze także o cudach Amazonii, miejscu, w którym rzeka spaja się z lasem, delfiny pływają wśród wierzchołków zatopionych drzew, a XXI wiek miesza się z początkami czasu.

www.marginsy.com.pl



cena 39,90 zł

PATRONAT MEDIALNY



lubimyczytać.pl

